

Arbuz, ciasto i kogucik - w Manufakturze Splotów

Tam, gdzie kończy się asfalt i zaczyna dziurawa droga łódzkiego przedmieścia, stoi dom. Z pozoru przeciętny, ale ładny. Zadbany, odmalowany, z nowymi oknami, zawsze na równo skoszoną trawą. Niepozorny. Na balustradzie balkonu pierwszego piętra siedzi plastikowy kruk. Za każdym razem, kiedy tu jestem, odprowadza mnie wzrokiem od furki do wejścia, bacznie obserwując, kogo tym razem nogi niosą. Zawsze, bo nie pierwszy raz tu wchodzę i - mam nadzieję - nie ostatni. Otwierają się drzwi mieszkania. Od wejścia odurza mnie cudowny zapach świeżych kwiatów, właśnie upieczonego ciasta z truskawkami i kobiecych, wytrawnych perfum.

Od progu z wyciągniętymi ramionami biegnie do mnie filigranowa blondynka z uśmiechem od ucha do ucha. W jednej chwili z ulicy z dziurami i jezdnią w pattern „kałuże”, wpadłam do nory pod żywopłotem, nory królika, który, uciekając przede mną, prowadzi w najbardziej odjechane miejsce na wnętrzarskiej mapie Łodzi. To nie Alicja jednak, nie kraina czarów. Przedstawiam wam Manufakturę Splotów Joanny Matusiak, świat rękodziela najwyższej klasy i jej dwa koty.

Michalina Grzesiak: - Jak pięknie pieje kogut, słyszysz? Bardzo swojsko u ciebie. Na stole arbuz, ciasto i ten kogucik w tle.

Joanna Matusiak: - No tak, może zamknę okno?

Spokojnie, nie przeszkadza mi. Wczuwam się w twój klimat... Joasiu, u ciebie nawet fasolka szparagowa zna swoje miejsce na talerzu. Na czym polega fenomen życia, dokładności i piękna, które zebrały już blisko dwadzieścia pięć tysięcy fanów w sieci i doczekały się kilku wywiadów w magazynach wnętrzarskich? Chcesz mi powiedzieć, że poza obiektywem aparatu też jesteś taka doskonała jak świat, który pokazujesz wirtualnie?

- Nie, nie jestem idealna, absolutnie. To, co pokazuję na zdjęciach, to wycinek mojego świata. Faktycznie, może ten bardziej idealny, ale nadal wycinek. Oczywiście, że nikt nie chce dzielić się smutkami i zmartwieniami publicznie, ale przecież żyję na tym świecie tu i teraz, mam problemy, jak wszyscy inni. Muszę kupić pralkę, gdy się zepsuje stara, wzięłam kredyt we frankach, ale nie piszę o tym w Internecie, bo to jest oczywiste.

Nie boisz się, że tworząc taki profil, budujesz markę idealnego świata, pod wpływem której ktoś może popaść w kosmiczne kompleksy? Jak to jest, że Manufaktura Splotów ma zawsze własnoręcznie upieczony chleb, ogrody kwiatów na stole w salonie i czystość.

Pedantyczną czystość.

- Kiedy zaczynałam, nie myślałam o wpychaniu ludzi w kompleksy. Z biegiem czasu, liczby prac i poziomu zaawansowania manufakturowych socjali (Facebook, Instagram), rzeczywiście dotknęła mnie forma hejtu - komentarz o prawdziwym życiu, w którym wszystko wygląda inaczej niż u mnie, ale wiesz, dla mnie to jest margines frustratów i ja nie mam wpływu na to, kto mnie obserwuje. Dla jednych zdjęcia mojego autorstwa, wszelkie inspiracje są dobre, dla innych nie i niech tak zostanie. Ja nie robię nic, żeby ściągnąć ludzi na swoje profile.

Może właśnie dlatego tylu ich tam jest, bo przemawia przez ciebie prawda, autentyczność i pasja?

- Kiedy prześledzisz działania Manufaktury w Internecie od początku, zobaczysz, że nigdy nie było żadnego konkursu, nigdy się nie reklamowałam. Mnie zależy na ludziach, którzy trafili do mnie ze względu na podobne rozumienie piękna. Ja z nimi prowadzę dialog, od nich się uczę i doświadczam.

Odnoszę wrażenie, że to nie tylko piękne splatanie i zdjęcia. Jesteś w pewnym sensie nauczycielem życia, dojrzałą kobietą - bo ile masz lat?

- Czterdzieści osiem skończę w tym roku...

...i do spełnienia własnych marzeń biegniesz w tempie Usaina Bolta. Kim byłaś, zanim pokochałaś druty?

- Byłam i nadal jestem trenerem biznesowym, prowadzę szkolenia dla dużych korporacji z zakresu komunikacji, sprzedaży, marketingu i zarządzania.

Czyli jesteś panią z korpo?

- Nie. Pracuję na ich zlecenie jako freelancer. Zanim jednak zostałam trenerem, odsiedziałam swoje w korporacji. Przez kilkanaście lat pracowałam w branży motoryzacyjnej. Przeszłam ścieżkę od asystenta do szefa sprzedaży i stwierdziłam, że nie ma nic więcej. A ja nie chcę robić cały czas tego samego. Chcę się uczyć.

Jak wygląda standardowy dzień rękodzielniczki? Co do ciebie wchodzi, to właśnie z fotela zwisa nadszarpnięta praca, za schodami stopy gotowych dywanów. Mam wrażenie, że doba w tym domu jest z gumy. Jak i kiedy łączysz życie prywatne z lawiną maili, zamówień i kiedy znajdujesz czas na druty?

- Bardzo pomogła mi praca trenera. Kiedy zaczęłam szkolenia dla biznesu, nie byłam na etacie, nie miałam pensji od pierwszego do pierwszego. Co wypracowałam, to miałam. Tych dziesięć lat nauczyło mnie samodyscypliny i z tego doświadczenia korzystam, ile się da. Do tego wszystkiego jestem pedantem. Muszę mieć czysto, bo inaczej nie potrafię zrobić niczego twórczego. Każdy paproch na podłodze będzie mnie dekoncentrował.

Oho, nigdy w życiu nie zaproszę cię do mojego domu...

- A, wracając do rodziny - rodzina rozumie. Mąż jest ze mnie dumny, chwali się mną i powtarza, żebym to dalej robiła, o ile sprawia mi to przyjemność. Od tej strony jestem zaopiekowana na maksa. Logistycznie mąż też mnie odciąża. Wozi paczki, odbiera sznurki od producenta, zanim zaparkuje auto w garażu, pyta, czy nie zawieźć mi czegoś na pocztę.

Na tym chyba polega miłość, prawda?

- Na tym polega miłość.

Jesteś szczęśliwą kobietą?

- Jestem.

Gdybyś miała dać trzy złote rady ludziom, którzy chcą zacząć karierę w domu, co by to było?

- Nie, daj spokój, nie lubię udzielać rad i występować w roli eksperta. Mogę tylko zagwarantować, że będzie ciężko i cudownie. Na pewno warto spróbować i to mogę serdecznie polecić. Frajda z robienia czegoś, co się innym podoba, co wymyśliło się samemu w przeszłości, a właśnie udaje się to zrealizować, jest nieoceniona.

Jak wyglądało twoje dzieciństwo? Często opowiadasz o pewnym domu na Helenówku...

- Mieszkał w nim mój dziadek. Stara polniemiecka willa zbudowana jeszcze przed wojną. Spędzałam tam każdą wolną chwilę. Dziadek to była najważniejsza osoba w moim życiu, po rodzicach oczywiście. Ten dom jeszcze stoi, ale jest w opłakanym stanie. Ma nieuporządkowane sprawy własnościowe, umiera. Po śmierci dziadka mieszkałam tam z mężem i dziećmi przez dziesięć lat. Jest to podstawa mojego życia w ogóle. W tym domu i okolicach nauczyłam się wszystkiego, co wiem o przyrodzie, nauczyłam się szacunku do niej.

Dziadek cię uczył?

- Tak. Dziadek nauczył mnie wszystkiego.

Ale, jak rozumiem, nie on wywijał na drutach długie szaliki zimową porą. Kto w takim razie pokazał ci, jak splatać?

- Mama. W czasach komuny, kiedy chciałaś mieć ładny sweter, musiałaś go sobie po prostu zrobić. Do wyboru były jeszcze bluzy Princeton University, w których chodzili wszyscy koledzy z klasy, no i buty sofixy. Moja mama robiła więc dla nas bardzo dużo ubrań na drutach i szydełkiem. Muszę przyznać, że byłam bardzo dobrze ubranym dzieckiem. Później już sama robiłam najpierw proste rzeczy - czapki, szaliki, ale córce długi szalik na jesień splatałam chyba pół roku. Bardziej udawałam niż robiłam. Specjalnie mi się nie chciało...

A kiedy wróciły chęci?

- Wiele spraw w moim życiu jest dziełem przypadku i tak też było tym razem. Praca trenera biznesu zajmowała mi czasami jedynie trzy dni w tygodniu. Stwierdziłam, że w ramach zabijania nudy zrobię dla siebie sweter, może jakieś poduszki. To był 2012 rok, początek zimy. Na rynku wnętrzarskim zapanowała moda na rękodzielnictwo - dywany, pufy. Przez przypadek znalazłam w Internecie hasło „sznurek” i tak zaczęłam tworzyć. Na początku bez wiary w powodzenie projektu. Kiedy na wysłanych przeze mnie kilka ofert z entuzjazmem odpowiedziały galerie internetowe, postanowiłam spróbować. I tak trwam.

Jesteś doświadczoną kobietą, autorytetem nie tylko w dziedzinach wnętrzarskich. Wiem, bo czytam czasem, co pisze o tobie córka, bloger kulinarny dla odmiany, i myślę, że może powinnaś naprawiać świat, a już na pewno naprawiać świat swoich rówieśników, którzy zginęli gdzieś w marazmie wieku 40+. Jak zachęcić jakąś matkę, czyjegoś ojca, żeby nauczyli się jeszcze raz wyciągać esencję z życia?

- Między mną a tymi ludźmi jest różnica charakterologiczna, nie żadna inna zależna od wieku. Kiedy chciałam mieć różową spódnicę, kombinowałam, kupowałam różowy materiał, albo biały nawet i farbowałam go sama w garnku na kuchence, później szyłam. Kiecka była krzywa i wypruwał się z niej zamek, ale ją miałam. Wiek nie ma znaczenia. Dzięki swoim doświadczeniom wiem, że w życiu można wszystko, niezależnie, czy ma się lat dwadzieścia czy sześćdziesiąt.

A nie potrzeba do tego przypadkiem pieniędzy?

- Czasami są potrzebne, oczywiście, że tak! Ale akurat do tego, żeby zacząć robić dywany na sznurku potrzeba dwadzieścia pięć złotych na druty i może sto złotych na pierwszy sznurek. Kiedy ja coś robię, to po prostu to robię. Nie marzę o tym miesiącami, nie gadam o tym po całym świecie. Biorę się za siebie i działam. Mam tak przez całe życie ze wszystkim, również z urządzaniem mieszkania, które nie jest wystylizowane za grube miliony, lecz moją głową, pomysłem i siłą mięśni. Jak chcę sobie przemalować kominek na ciemnoszary, to jadę do sklepu, kupuję farbę, wałek, wracam do domu i maluję. Żeby coś osiągnąć, trzeba działać i to jest najważniejsze. Mąż mówi o mnie, że jestem odważna, bo robię wszystko, co powstaje w mojej głowie. Mam na koncie też mnóstwo porażek, ale wiem, że się do tego nie nadawałam, bo sprawdziłam.

Twoje podejście do życia to fantastyczny azymut dla twórców. Bardzo często towarzyszy im uczucie „boję się, że się nie uda”. Pokazujesz, że można i dodajesz skrzydeł. Mnie również. Dzięki Joasiu.

- To uczucie jest głównym hamulcem przed jakimkolwiek działaniem człowieka. Udowodniono natomiast, że bardzo duży procent naszych irracjonalnych lęków nigdy się nie ziści. Wszystko jest w głowie. Mamy bujną wyobraźnię.

Co dalej z Manufakturą Splotów? Jakie masz marzenia?

- Wymyślam, kombinuję, wciąż dużo wymagam od siebie. Kiedyś liczył się tylko sukces i forsa, jak chyba u każdego młodego człowieka, ale ja to już wszystko przeżyłam, wiem, jak to smakuje. Teraz chcę czegoś zupełnie innego. Manufaktura to nigdy niekończący się projekt. Ciągłe mam nowe pomysły.

A butik? Gdzieś w OFF Piotrkowskiej?

- O tym nie ma mowy. Nie mam potrzeby posiadania takiego miejsca. Siedzę sobie w domu, piję kawę z własnego ekspresu, przytulam koty, piekę chleb i splatam. Ludzie wysyłają mi zdjęcia wnętrza i proszą o dopasowanie projektu do wystroju, dając mi tym samym pełną dowolność w tworzeniu. To mnie chyba najbardziej kręci. Ludzie mi ufają, akceptują mój gust.

Twój gust, no właśnie. Spośród blisko czterech tysięcy zdjęć prac i inspiracji Manufaktury wzięłabym wszystko. Jakie jest twoje największe osiągnięcie? Projekt, z którego jesteś wyjątkowo dumna?

- Dywan patchworkowy, od początku do końca mój pomysł. Układ ściegów, kolorów. Zawsze kiedy widzę kopiowanie przez innych rękodzielników właśnie tego projektu, nie mam cierpliwości i bywam nerwowa. Reszta - proszę bardzo, nie ma problemu, ale nie ten dywan.

Jesteś łodzianką, za co kochasz to miasto?

- Moja Łódź jest niedoceniona, a kocham ją za wszystko. Nie mogłabym mieszkać nigdzie indziej na stałe. Mam dwa marzenia, które może kiedyś uda się zrealizować - dom nad polskim morzem i dom w górach, ale ja w nich nigdy na zawsze. W związku z pracą często bywam w Warszawie, mój mąż zresztą też. Mimo to nigdy nie było mowy o wyprowadzce. Łódź jest pięknym miastem z określonym charakterem. Jestem dumna z tego, co się u nas dzieje w ostatnim czasie, z tego jak otwieramy się na ludzi. Jest natomiast jedna rzecz, której w Łodzi nie znoszę - łodzianie, którzy są wiecznie ze wszystkiego niezadowoleni.

A to nie jest przypadłość wszystkich Polaków?

- Oczywiście, ale w związku z tym, że Łódź jest mi bliska, wyjątkowo mocno mnie to irytuje. Moim ulubionym miejscem w Łodzi jest Las Łągiewnicki. Dużo jeżdżę na rowerze, przemierzam te same drogi i okolice, czasami poznaję nowe ścieżki. W mieście dla odmiany lubię być na Offie. Wszystko tam jest zwyczajne i niewymuszone. Zdejmuję kask, odstawiam rower pod ścianę i w gaciach sportowych zamawiamy z mężem kawę. Podoba mi się to, jaki Off jest niedoczyszczony i autentyczny. Plany rewitalizacji kłócą się z moim pojęciem piękna.

Wypadałoby na koniec zachęcić ludzi do rzucenia pracy w korporacji i namówić na skok w głębokie wody kreatywności?

- Jeśli tego chcą - tak. Jeśli coś potrafią i chcą z tego zrobić sens w życiu.

Co ma być, to będzie, prawda?

- Otóż to.

Fot. Patrycja Dolecka